ONET TURYSTYKA

FUNDACJA PAŁKIEWICZA

Auto znika pod wodą. Stojący na brzegu obserwują, ale nikt nie rusza na ratunek

Życie pełne przygód nierozerwalnie wiąże się ze zgodą na ponoszenie ryzyka. Kto tego nie akceptuje – siedzi i gnije.

Jacek Pałkiewicz
19.03.2023

Wyjście z pojazdu jest możliwe dopiero po całkowitym jego wypełnieniu się wodą

Włochy, Trydent, czerwiec 1983. Zielona alfa romeo nabiera rozpędu. Podskakuje lekko na gliniastym podłożu, siłą bezwładności pędząc po trawiastej skarpie. Kierowca naciska hamulec, ale pojazd nie reaguje. Sięga do ręcznego – ale i jego linka jest zerwana. Przypięty pasami mężczyzna z palcami do białości zaciśniętymi na kierownicy jeszcze przez dwie sekundy szuka rozwiązania. W trzeciej – przód samochodu uderza w błękitną taflę jeziora.

- **Czytaj również: Burdż al-Arab - symbol zbytku. Intrygujący dubajski "Żagiel"**

Wstrząs przenosi się na kierowcę, jego głowa podskakuje jak wielka piłka, oczy rozszerzają się z przerażenia. Nie rusza się jednak. Przednie koła szybko znikają pod powierzchnią. Stojący na brzegu ludzie z odległości dziesięciu metrów uważnie obserwują wypadek. Nikt jednak nie rusza na ratunek.

Krystalicznie czysta, zimna woda sięga drzwi kierowcy. Z szumem znajduje sobie drogę do środka – i wypełnia już komorę silnika, zalewając nogi nieruchomego mężczyzny w koszuli z

angielskiego lnu. Zielone refleksy – ale może i strach – nadają jego twarzy upiorny kolor rodem z filmów o zombie. Bulgocząca woda zatapia już przednie fotele.

ZOBACZ RÓWNIEŻ

"Każdy boi się śmierci, bo jej nie zna. Ja też"

"Fala, która przelała się przez figurę papieża, wywołała kulturową wojnę" [OPINIA]

Świadkowie nadal nie reagują.

Kierowca odruchowo, ulegając panice, odpina pas i łapie klamkę. Szarpie ją i próbuje ramieniem pchnąć drzwi. Bezskutecznie. Nie zostały zamknięte, nie unieruchomił ich też wypadek. To prawa fizyki, bezwzględne i klarowne, nie pozwalają wydostać się z auta, które jeszcze nie wypełniło się wodą. Różnica ciśnień jest na razie tak wielka, że otwarcie drzwi jest niemożliwe.

Kierowca czeka. Musi. Ostrożnie zerka w prawo. Na siedzeniu pasażera spokojnie spoczywa płetwonurek ratownik. Ubrany w pełny kombinezon uważnie śledzi każdy ruch i reakcje kierowcy. Nie da mu umrzeć.

Za drzwiami po prawej pojawia się drugi człowiek w piankowym kombinezonie, z aparatem i butlami. Na brzegu czeka w pogotowiu wyspecjalizowany zespół ratowników. Ale poza przyglądaniem się cała ta armia specjalistów nie czyni żadnego wysiłku, by pomóc człowiekowi w lnianej koszuli.

Ten, jakby nagle sobie o czymś przypomniał, sięga do korbki okna. Gdy woda zalewa jego szyję, wykonuje trzy głębokie wdechy i pod wodą kręci korbą, otwierając okno. Woda szybciej wlewa się do środka, w trzy sekundy pogrążając nieszczęśnika w potwornie zimnym świecie. Pasy są już odpięte.

Mężczyzna sięga raz jeszcze do klamki, napierając równocześnie na drzwi. Teraz gdy ciśnienie wyrównało się, zawiasy pozwalają uchylić metalową klapę. Centymetr za centymetrem, jak w upiornym zwolnionym filmie, zielone wejście otwiera się. Gdyby nie wyraźny kształt, można by uznać, że oto uchylony zostaje właz łodzi podwodnej. Płetwonurek z dodatkowym ustnikiem

aparatu tlenowego znajduje się o metr dalej. Ale kierowca nie poddaje się – pcha jeszcze mocniej, powoli wypuszczając nosem bańki powietrza.

- **Zobacz także: Ostatnie geograficzne odkrycie**

Siedzę wciąż na fotelu pasażera, także z gotowym ustnikiem. Obserwuję ruchy kierowcy. Już zrobił sobie wystarczająco szeroką szparę, by wyjść, pasy ma odpięte, sięga lewą ręką do dachu, szarpie...

Zajęcia związane z awaryjnym lądowaniem samolotu

Nic.

Prawa noga ugrzęzła mu między pedałami. Z przerażeniem spogląda w moje oczy ukryte za szkłem maski, potem na aparat tlenowy. Czynię ruch, by wyciągnąć do niego rękę, ale po sekundzie wahania krótko potrząsa głową, aż jego siwiejące włosy rozpływają się w zielonkawej wodzie.

Schyla się, szarpie nogawkę spodni i prawa noga zostaje uwolniona. Teraz już bez przeszkód odbija się od progu samochodu i w dwóch ruchach wydostaje na powierzchnię.

W tym momencie stojąca na brzegu grupa otrząsa się z wyczekującego odrętwienia. Podbiegają do brzegu, pomagają wyjść przemoczonemu mężczyźnie. Rozlegają się oklaski.

Wypływam na powierzchnię, podobnie jeden z moich ludzi. Nasza asysta nie okazała się potrzebna, ale nie pozwalamy nikomu trenować wydostawania się z zatopionego samochodu bez podjęcia wszelkich możliwych środków ostrożności.

Wyjmuję ustnik i oświadczam:

– Topielec zaliczony. Wyciągajcie auto i szykujcie następnego.

Z cichym szumem rusza wyciągarka. Specjalnie przygotowane i zakonserwowane auto wydostaje się z jeziora, po raz nie wiadomo który. Gdyby miało świadomość, że tylko dziś utonie jeszcze sześć razy, z rozpaczy popełniłoby harakiri.

Wielkie zamyślenie rysuje się na twarzy Alberto, jednego z moich asystentów. Przyjechał przed chwilą na krosowym motocyklu i daje mi dyskretne znaki, bym podszedł.

Zrzucam płetwy i kroczę po skarpie.

Szkoła przetrwania posiadała patronat włoskiego Ministerstwa Obrony Cywilnej

– Co?

Jacob pokazuje mi wydruk z teleksu. Deutsche Presse-Agentur donosi, że podczas identycznego szkolenia w niemieckiej jednostce specjalnej GSG 9 właśnie utonął jeden z komandosów. Jednostka ogłosiła, że rezygnuje z tak niebezpiecznych treningów.

– A my? – pyta Alberto.

– A my dobrze pilnujemy naszych ludzi – oświadczam. – Działamy tak, jak przy dobermanie. Wzmożona czujność i działamy dalej!

Tak. Antyterroryści z austriackiej Cobry mieli paskudny wypadek. Podobnie jak u nas trenowano tam obronę przed atakującym psem. Kiedy jednak nadmiernie agresywny doberman przegryzł gardło jednemu z żołnierzy, zaprzestano na zawsze takich ćwiczeń. U nich, nie u mnie. Chciałem, aby adepci moich szkoleń przeżyli piekielny dreszcz strachu i nauczyli się zachowania zimnej krwi i opanowania. I żeby zapamiętali te lekcje na całe życie.

Kiedy zakładałem pierwszą w Europie niewojskową szkołę przetrwania, wiedziałem, że najbliższym przyjacielem przygody będzie w niej ryzyko. Skalkulowane, oswojone, ale jednak.

Po odbyciu kilku wypraw postanowiłem sprawdzić swoje umiejętności. Znalazłem się około 50 km na północ od Tel Awiwu. Tym razem nie w charakterze dziennikarza ani turysty, lecz z zamiarem uczęszczania do International Security and Defence Systems, najsłynniejszej szkoły antyterrorystycznej prowadzonej przez Leo Glesera, byłego oficera izraelskich służb specjalnych. Potem odbyłem staż w szkole przetrwania w Arizonie w USA. Dopiero po tych doświadczeniach znalazłem we Włoszech odpowiedni zakątek. Przepiękna dolina w Trydencie, zapomniana przez Boga i ludzi, stała się na kilka lat miejscem zmagań setek adeptów survivalu ze zmęczeniem, stresem, strachem i ryzykiem. Przyjeżdżali, aby pokonać własne słabości. Podjąć wyzwanie, narazić się na ryzyko.

Szkoła miała na celu naukę radzenia sobie w sytuacjach ekstremalnych

Jacek Pałkiewicz

Fragment książki "Oblicza strachu" J. Pałkiewicza (Wyd. Czerwone i Czarne, 2015)

Jacek Pałkiewicz, reporter, podróżnik, odkrywca źródła Amazonki, twórca pierwszej w Europie szkoły survivalowej. Szkolił kosmonautów i elitarne jednostki antyterrorystyczne sztuki przetrwania w ekstremalnych środowiskach. Autor bestsellerowych książek, m.in.: "Pasja życia", "Dubaj", "Syberia". Zob. **www.palkiewicz.com**